



PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG**

EKSPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

MIEDZY NAMI.

Milion milionów ścieżek snuje się z serca każdego ku sercom innych, każda o danej chwili może stać się potężnym życia przewodnikiem i czynu zasadą.
Z. Krasieński.

Idea, której zadaniem ma być stanie się częścią praw rządzących ludzkością, musi przede wszystkim wyrobić się sama w sobie, musi najistotniejszą duszą swoją przybrać w prawidłowe, mocne i piękne ciało, aby organizmem swym mogła brać czynny i dodatni udział w życiu społeczeństwa, wśród którego wyrosła. Dookoła siebie widzimy dużo różnych idei początkowych, bardzo młodych, niedojrzałych, rozkwitających dopiero, bardzo gorących, bo płynących z serca współczesnych, koniecznych objawów, ale i bardzo niewyrobionych, o całokształcie jeszcze niedoskonałym i zaledwie naszkicowanym. Dla tego też te nowe idee spotykają się zbyt często z sądem bardzo doraźnym i bardzo niesprawiedliwym, który pierwsze objawy danego prądu bierze za ogólną sumę jego celów i karci niemilosierdzie każdy krok fałszywy, mieniąc go zasadniczym błędem, gdy on jest tylko przejściową próbą doświadczalną przyszłego pewnika.

Taką ideą, będącą w okresie dojrzewania, w epoce formacji własnego socjalnego organizmu, i w dobie niezawodnie przejściowej, nieśladznych o niej sądów, jest między innymi sprawa kobieca. Potężna w swem źródle, tętniąca w połowie całej ludzkości, rozpoczyna już na wszystkie części świata, zdobywając sobie coraz silniejszy grunt pod nogami, idea ta właściwego swego całokształtu jeszcze nie posiada;

zdobną ją już piękne szaty zapалу do pracy, dumna toga samodzielnego poczucia, silna już dłoń wytrwałości, samowiedna żądza mnożenia swych obowiązków, ale idealne ciało nie trzyma się jeszcze prosto i równoważnie, jeszcze się chyli tu i tam, jeszcze ma za wiele rąk, sięgających naraz po wszystko, jeszcze niema silnych nóg do miarowego pochodu, jeszcze za dużo skrzydeł wrażliwych na wszystkie wiatry, a z tem wszystkim wewnętrznym szkieletem nie uformowany dostatecznie. Zanim więc sprawa niewieścia szybkim prądem naprzód wciąż iść będzie i rozpalać swe ognisko coraz namiętniej i coraz szersze koło zajmować zwolenników i równocześnie niejednego wzbudzać sobie wroga, powinna, doszedłszy do dzisiejszej mety, nieco skupić się w sobie, punkt dośrodkowy swego ruchu wyrobić, silnie zasadnicze linie swego szkieletu zarysować, umocnić stopy na stałym łądzie skryształizowanej zasady i mniej będąc ciągnącą sporną teorią, stawąć się praktycznym zastosowaniem ściśle wytkniętej drogi pracy i rozwoju wszechstronnego dla ogółu kobiecego świata.

Pomysły wielkie miewają najczęściej genialne jednostki, ale ich wcielenie, ich zastosowanie w życiu należy do masy; żeby się jednak teoria stała praktyką, żeby myśl poszczególna, idea, stała się życiem dużego zbiorowiska, na to potrzeba dość wysokiego stopnia dojrzałości tej grupy. Najwybitniejszą cechą dojrzałości zbiorowisk jest ich stan skupienia, ich jednolitość poglądów, ich solidarna spójność w ogólnym interesie i „jednością silną”, gdy „szczęściem jednego są wszystkich cele”, wtedy dopiero zbiorowisko takie staje się głębokowcielonym w życie społeczne czynnikiem i na prawach swej użyteczności, na zasadzie niezaprzeczonego w niczem swego obywatelskiego znaczenia, może swobodnie postępować w przyszłość i ma wówczas prawo zupełne bronięcia swej sprawy, jako dobra publicznego. Tej ściśle spójności, jako znamienia doj-

rzałości sprawy, nie posiada jeszcze współczesny ruch niewieści, choć wybitnie już znaczny i szeroko rozpoczany w cywilizowanym świecie. Sprawie niewieściej brak właśnie skupienia kobiecych interesów, brak solidarnego współczucia między rozmaitemi warstwami kobiet, z których jedne są krańcowo niemal fanatyczne, drugie nieświadomo, niedołącznie bierne, a środek, przy którym jest poczucie właściwej drogi, jest jeszcze za mało liczny, aby przeważał swym wpływem pęd jednych i zastój drugich.

Przyznać musimy sobie otwarcie: — między nami za mało jest łączących nas węzłów na wspólnej przecie drodze. Koniecznie znaleźć musimy tę prostą, wzajemną ścieżkę, na której potężne życiowe przewodniki wskażą nam właściwego czynu zasadę. Przedewszystkiem powinniśmy się między sobą wszystkie szczerze odczuć, zrozumieć i nie być sobie obcymi. A właśnie między kobietami bardzo silnie jeszcze przechowuje się kastowość, częstokroć wprost — egipska. Co na przykład obchodzi przeciętną kobietę z „wyższego świata” los biednej robotnicy? Ona się chętnie na cel jakiej biednej grupy kobiet dobroczynnie przetańczy, ale odwróci się ze wstrętem na ulicy od nieokrzesanej i brudnej mularki, która okapana wapnem, dźwiga cegły po rusztowaniach. I odwróci się nietylko z niesmakiem osoby estetycznej, ale nawet, co gorsza, z zupełnem a nawet szczerem poczuciem swej niezaprzeczanej wyższości moralnej. A jednak, gdyby w to serce wyrobniicy zajrzała, znalazłaby w niem te same zupełnie uczucia, które we własnym przechowuje — miłości dla rodziców, dla męża, dla dzieci, dla lichego kąciaka rodzinnego, miłość może lepszą, choć niezawodnie mniej wymowną, lepszą, bo popartą przez ciężką pracę, przez codzienną walkę z nędzą i tysiącem pokus, jakie ona stwarza. Przypomnijmy sobie los nauczycielek prywatnych i te wszystkie przykrości, upokorzenia, obojętność i niewdzięczność, na jakie są narażo-

ne, i przyjrzyjmy się całej drabinie społeczeństwa kobiecego, a zobaczymy, jak jeden szczebel pnie się nad drugi i jak niewiele jest socjalnej spójni między nimi. Arystokratka wynosi się nad szlachciankę, szlachcianka nad mieszczkę, mieszcza nad rzemieślniczkę, rzemieślniczka nad wyrobnicę, a chłopka gardzi całym miastem, a mianowicie komornicą, która pod jej dachem mieszka i pędzi własnej ziemi nie posiada. Sprawa kobieca pomimo to istnieje, bo istnieje krzywda; tylko że jedne z nas jej nie odczuwają, bo ich ona nietyle dotyka, a odczuwać krzywdę drugich, to sprawiać sobie przykrość i koszt; drugie cierpią potulnie, bo nie wiedzą jak radzić, a inne walczą szlachetnie za siebie i drugich, ale że nie ma dostatecznej między nami spójni, więc i przegrywają — często potępione przez same kobiety. Bolesna to jest rzecz walczyć o dobro tych, którzy do pojęcia tego dobra nie dorosli i krytykują je ze swego wygodnego, a bardzo, bardzo niziutkiego trójnoga. Słyszałam jedną pannę, która mówiła: „Po co mam się uczyć grać, kiedy będę miała taką służkę, która mi będzie grała!” a inna: „Na co mi historia, i tak za mąż pójdę!” A dwunastoletnia dziewczynka dowodzi: „Po co ja mam się męczyć, aby być mądrą, mamusia była głupia, a za hrabiego poszła.” A szesnastoletni podłotek opowiada: „Na imieniny dostałam angelkę!” Całe położenie nauczycielki mieści się w tem wyrażeniu dziecka, będącem odbiciem zasad, jakimi oddycha.

Takie starcia spotykamy u kobiet na wszystkich granicach warstw społecznych, starcia zupełne, przestarzałe, przebrzmiałe, dowodzące nietylko małego ducha, ale nieurodzajnego serca. Zawsze można przebaczyć komuś zakutą głowę, ale zakutego serca — nigdy. Między nami nie ma dość serca, leży wielki smutny ugor, częstokroć i przepaść. Jakże sprawa nasza ma postępować naprzód, kiedy ma rozstrzelone hufce, nie posiada ogólnie odczutej planu kampanii, ma gwałtowny wysiłek szeregowców, potępiane zwycięstwa i wysmiewane porażki. Między nami powinni być koniecznie inaczej. W każdej warstwie społecznej, od najwyższej do najniższej, znajdują się jednostki wyborowe, które odczuwają wedle wyższej swej miary umysłowej całość owego położenia rzeczy bez naleciałości stronnictw i kasty, i tych zadaniem jest stwarzać około siebie grupy dobrze myślące i dobrze działające, a w ten sposób, z czasem, wychowa się ogół kobiet, rozsądek których i uczucie obejmie nietylko ciasne kółko własnego losu, ale rozszerzy się do zadań życiowych całej połowy ludzkości. Najważniejszą pomocą w wyrobieniu tych szlachetnych uczuć wspólności czyli tych raczej współczuć dla drugich kobiet, byłoby odmienne pod tym względem wychowanie dziewcząt, niż to jest do tej pory.

Chłopiec spotyka w szkole publicznej od razu wszystkie warstwy społeczne i dla tego też uczy się wcześniej odróżniać wartość człowieka od jego położenia socjalnego, dotykałnie widzi, że walka jest dla wszystkich, że praca jest dla wszystkich, i że już u progu życia jedni cierpią więcej, drudzy mniej, jednym jest lepiej, drugim źle. Dojrzałość zaczyna się wcześniej, bo wśród grona różnych kolegów, chłopiec w nich widzi jedną wielką wspólność: — to są wszystko mężczyźni i w przyszłości tak samo jak na szkolnej ławie, będą sobie blisko, przyjaźnie lub wrogo, ale wielki interes świata łączyć ich będzie zawsze. Wśród tego zbliżenia się w szkole wykwiatają nieraz wielkie uczucia przyjaźni, solidarności, koleżeństwa, honoru, niejako braterstwa i poczynają się już budować podwalina życiowa rosnącego pokolenia.

Dziewczynki chowane są inaczej. Każda warstwa społeczna chowa je osobno niemal, a pensjonaty, klasztory, szkoły publiczne, gimnazja, jednoczą mniej więcej młodzież żeńską jednej sfery. Domowe zaś wychowanie zupełnie już wyklucza wszelką styczność z dziećmi innej klasy ludzi. A jednak możeby czasem dobrze było, żeby te panienki zobaczyły, jak żyją te dziewczyny biedne, jak im trudno, jak się męczą po szwalniach, po magazynach, po fabrykach; jak, jeśli

się uczą, nie mają ani światła porządnego, ani ciepła, ani chleba czasem; ile to się nalatać i nakrzętać muszą, nim do tej nauki czy też roboty usiądą, i potem żadnej przyjemności nie mają, nie jadą, nie idą na przechadzkę, i brak im tego wszystkiego, co jest szczęściem i swobodą dziecka zamężnych rodziców. Gdyby w dziewczynkach wyrabiano wcześniej serce dla drugich dziewczynek, byłoby między nami więcej rozumnych i serdecznych kobiet, a sprawa nasza poszłaby i zgodniej i łatwiej. Wszystkiego się upominamy u rządów, u władz, u mężczyzn, a pomyślimy, cośmy też same dla siebie uczyniły, same między sobą?

Straszniesmy daleko jedno od drugich, stosy rupieci przestarzałych nas dzieła, zawałidrogie różnych egoizmów nie dają nam wzajemnie do siebie przystępu. Mamy wprowadzić i stowarzyszenia, instytucje, towarzystwa, ochrony, schronienia, ale to są posterunki dla tych z nas, które już wspólną pracę rozumiemy; a po większej części w nich chodzi o ratunek i pomoc dla wywołanych już z pola walki. Stowarzyszenia zaś, w których celem są ekonomiczne, towarzyskie lub naukowe względy, narzekają na brak poparcia w prasie i na obojętność kobiet właśnie. Czy jednak same sobie nie są trochę winne, czy się starają o to, aby kierownicy pism mieli na czasie dokładne wieści o działalności ich i rozwoju. Zdaje mi się, że nie. Mam na to dowód tuż pod ręką, z własnego doświadczenia poczerpnięty. Oprócz „Schronienia dla nauczycielek“ i „Towarzystwa nad ubogimi matkami i ich dziećmi“, w Warszawie, które starannie co rok nadsyłają swe doroczne sprawozdania i oprócz tego dają jeszcze wiadomości o swym wewnętrznym ruchu, zmianach i postępie, żadne prawie inne kobiece stowarzyszenie nie korzysta z organu kobietom poświęconemu i nie daje znać o sobie. Mamy aż trzy czytelnice dla kobiet: we Lwowie, Krakowie i Poznaniu; jest stowarzyszeń kobiecych różnego rodzaju w Galicyi aż kilkanaście; są pensjonaty, gimnazja, zakłady gospodarczo-wychowawcze, jak hr. Zamojskiej w Zakopanem, są szkoły dla służby różnego rodzaju, są krajowe szkoły przemysłowe dla kobiet, a wszystko to dałoby obraz bardzo dużej i bardzo dodatniej działalności kobiecej; coż kiedy te instytucje milczą, jednym słowem o swem życiu znać nie dadzą, sprawozdań dorocznych nie nadeślą do nas; zamknięte w sobie, nieco, że się tak wyrażę, prowincjonalnie, żyją dla siebie, dla najbliższego otoczenia, nie czują się dostatecznie częścią wielkiego ruchu kobiecego, a słyszeć mi się dało, że utyskują, że się o nich za mało pisze. To już całkiem nieuzasadnione żądanie. Redakcja nie może wędrować do każdego stowarzyszenia, jak do Medyny, po wieści co się tam dzieje; instytucje ubiegają się zazwyczaj o to, aby o nich zechciało wzmiankę w piśmie uczynić. Dotychczas ile razy pisać zamierzałam o działalności stowarzyszeń kobiecych w Galicyi i w ogóle o ich pracy i ruchu, musiałam się dowiadywać przez listy na miejscu, lub posyłać i szukać sprawozdań i wyznać muszę, że łatwiej mi dawać sprawozdanie z tego co czynią i jak się ruszają kobiety w Ameryce i w Indyach, niż w naszych częściach kraju. Jest to bardzo charakterystyczny objaw tego braku między nami solidarności i wspierania wzajemnych interesów. Pismo nasze stoi otworem każdej dobrej sprawie kobiecej, każdej nowej myśli, nowemu czynowi, nowemu objawowi życia i zrozumieniu życia, każdemu wreszcie poparciu użytecznej instytucji, pracującej ku dobru ogółu. Miejsce na to wszystko jest, ale napełnić je musimy naszą dobrą wolą i z trudem zdobywanymi wiadomościami, i gdyby nie to, miejsce byłoby puste, bo zewnętrzna obojętność niczego by nie napełniła, niczego nie poparła i niczem się nie przysłużyła. Między pismem dla kobiet a kobietami powinna być bardzo ścisła spójność, wszechstronne wspólne życie, tak, żebyśmy sobie wzajemnie powiedzieć mogły: między nami jest węzeł ścisły, jest wzajemność, jest pamięć i poparcie, słowem, że przecie żyjemy wspólnie i że praca nasza nie jest przeznaczona dla zakątka tego lub owego, dla danej miejscowości i jednej grupy ludzkiej, ale że razem idzie-

my szerokim gościńcem wspólnej sprawy, która nas jednak gorąco wszystkie obchodzi.

Jeżeli więc tyle, tyle nitok wiąże nasze serca, nasze myśli, troski, naszą dumę, obowiązki i marzenia, to niechże te nitki stają się przedzą między nami, silną jako liny potężne, trzymające na wodzy ogromny i piękny żagiel naszego młodego okrętu na współczesnych wodach, jako liny silne, którym wytrzymać przyjdzie nietylko daleką jeszcze wyprawę do spokojnej przystani społecznej, lecz może i niejedną burzę, której grozy i trudów dziś przewidujemy, a która stać musi wielką, szczerą, mądrą i wzajemną miłość — między nami.

Szczęśna.

TYPY I SYLWETKI NIEWIEŚCIE w poezjach Brodzińskiego.

(Dalszy ciąg).

Niemniej wdzięczną od obu poprzednich sielank jest дума galicyjska, zatytułowana „Oldyna.“ Skreśliwszy przed nami obraz cichego, spokojnego wieczoru, jaki schodzi na pola już osamotnione po dziennej pracy rolników, poeta pokazuje nam smutną postać Oldyny, która powraca z lasu do wioski, niosąc na plecach wiązkę chrustu.

„Już to raz czwarty na Zielone Świątki
Strojona kwieciami ta kościoła brama.
Czwartym się kwiatem bielą sadu prątki,
Jak oplakuję mego Adama.
Nie zajrzał dzionek, nie pożegnał ziemi
Bez moich modłów i próżnego łkania,
Codzień się zwodzę między podróżniami,
Codzień od niego wyglądam pisaną...”

Kończy wreszcie opowiadanie swoje Oldyna wróżką, że zginie Adam na wojnie — i pragnie już tylko, aby ją „zaraz — jak może — pocieszył,“ by cień zginionego zjawił się przed nią, a wówczas duch jej za jego pośpieszyłby duchem — i w niebie złączył się już na wieki.

Wiersz cały trzymany w tonie łagodnym, melancholijnym raczej, niż posępnym... Nie ma tu wybuchów rozpacz, nie ma buntów przeciw losowi duszy, której się szczęście rozbiło... Zamiast tego czuć cichą rezygnację, pojoną łzami wspomnień, trwałą, długą jak życie, smętną, lecz nie wybuchającą gwałtowną skargą ku niebu... Zupełny brak kolorów gorących i silnych, nieodpowiednich duszy poety, pełnej smutku, lecz w gruncie rzeczy cichej i spokojnej. Ów smutek i żal nieszczęśliwej Oldyny zestraja się harmonijnie z miękkiem, różnobarwnym kolorytem pejzażu, na który kładą się tu i owdzie ciemniejsze zmierny przednocy; pięknymi też są pierwsze strofy wiersza, malujące ów krajobraz w wieczornem półświecie, piękne i pełne w sobie ciszy i ukojenia:

„Ustały w polu za pługiem odgłosy,
Pomału dążą z pola ciężkie wołki,
Niosą sieroty uronione kłosy,
A dzień żegnają jodłowe wierzchołki.
Chmurki, igrające po tarczy księżycy,
Przechodnie cienie ścielą na pnie suche;
Z gór wędrująca kłótniwa krynica
Z głosem mruczeniem mija pola głuche...”

Przejdźmy teraz do krótszych wierszy Brodzińskiego, w których poeta rysuje przed nami postacie niewieście więcej sylwetkowo, pełne nieraz prostoty i rzeczywistego wdzięku. Przypatrzmy się najprzód, jak w nich wygląda dziewczę młode, kochające, szczęśliwe przy kochanku, lub tęskniące za oddalonym. W wierszu zatytułowanym „Kochanka“ widzimy młode dziewcz-

czę wiejskie, które żegna odjeżdżającego na wojnę kochanka: gdy ojciec wyprawiał go z domu, a gromada, zebrana u progu, ze łzami żegnała, dziewczę z chusteczką od łez wilgotną szło do źródła, aby go choć na chwilę wstrzymać przed drogą: „wyschła chusteczka, ja znowu umyślnie zrosiłam ją łzami, aby przez chwilę schła jeszcze na płocie, żeby na chwilę mógł jeszcze być z nami...” Odjechał wreszcie, a ona w tęsknocie i smutku wyszukuje jego śladów, co zostały po nim „do brogu tłoczone,” obiega cieniste gaje, gdzie nieraz pewnie widywała się ze swym ukochanym. Serce, pełne niepoju i smutku, skłonne jest do wróżb i przepowiedni; chwytła każdą choćby najdrobniejszą okoliczność, znak każdy, z którego wyciągnęby można pomyslną wróżbę na przyszłość: kiedy odjeżdżał, bocian obierał gniazdeczko na dachu, nie krakały wrony, — wszystko to są nieomyślnie wróżby, że powróci cało, a sroczka przepowie, z której powróci strony... I snują się dalej marzenia — coraz różowsze i miłsze, piękne marzenia kochającego dziewczęcego serca.

W „Żalu pasterki” widzimy żal opuszczonej przez niewiernego kochanka dziewczyny. Niedługo ją kochał, i wtedy tyle chwil szczęśliwych spędziła przy nim w tym sadku, w cieniu drzew kwitnących, przy śpiewie ptasząt rozkochanych. Znowu powróciła wiosna, znowu „sadek się bieli, krążą motyle” jak dawniej, znowu „wonnym kwiatem łąka słynie, a turkawki znowu gruchają w krzewach” — tylko jego niema przy jej boku jak dawniej, tylko ona dziś jedna opuszczona i smutna... Żali się więc cicho kwiatom i ptakom i drzewom, ale jest to znowu tylko smutek cichy i żal łzawy, lecz ani śladu gwałtowniejszych namiętnych wybuchów bólu, zazdrości lub zemsty względem tego, który ją zdradził i opuścił. W wierszu p. t. „Tęszna.” poeta kreśli nam postać dziewczęcia, tęskniącego za młodzieńcem, który pojechał na boje. Skarży się na rozłąkę z ukochanym i pyta: „po co góry, po co skały, by mi ciebie zasłaniały!...” Przeszłaby stępy i pustynie, przebrnęłaby potoki, światby zeszła cała, byle ukochanego odnaleźć... i znowu pyta w żalu: „po co świat ten tak szeroki, bym doznała tej odwołki?...” Jeśli go wstrzymują boje, to wraz z wrogami rani on i jej serce swą zwłoką, a wieńce jego z pola chwały płacone są jej łzami... i znowu z filozofią kochającego kobiecego serca, które nie na świecie nie obchodzi po za ukochanym, pyta: „Po co króle, po co boje, by mi brały szczęście moje?...” Jeśli go wstrzymują siostry i rodzina, — żali się, że nie może uprosić ich, by jej go wróciły i pyta: „poco krewnych? śpiesz się w drogę, ja za wszystkich kochać mogę!” A jeśli go obce gdzie wstrzymują dziewczęta, to nazywa je okrutnemi i mówi:

„Świat wy cały mieć możecie,
Dla mnie tylko on na świecie...”

Przywiązanie dziewczyny do rodzinnej zagrody widzimy w wierszu p. t. „Brat i siostra.” Brat w rozmowie z siostrą wyjawia przed nią swe pragnienie poznania szerszego świata, zwiedzenia Rzymu, który wydał tylu sławnych mężów i wielkich synów ojczyzny... Siostra odpowiada mu na to, że i tu leżą wiele i sławni wodzowie, których czyny opowie śpiewak domowy, a o sobie mówi: „Nigdy ja domu nie rzucę, miła mi grządka choć mała; tu niech się cieszę i smucę, kędym kwiateczki posiała.” Chłopak marzy o życiu pełnem sławy i o czynach bohaterskich i głośnych, siostra zaś marzy o tem, by osładzać stare lata ojcu i matce, by poświęcić się „cichym pracom i enotom,” pełnić uczynki miłosierdzia, szyć sukienki sierotom i wspierać chorych i ubogich; a gdy brat mówi, że „jeden Bóg jest Ojcem świata,” że cała ludzkość jest wielką rodziną, w której on pragnie zająć pewne stanowisko, siostra stronnie mu na to odpowiada: „Dobrze mi z Ojców mych Bogiem,” i prosi Boga o cierpliwość, z cnót najniezbędniejszą w życiu. Chłopiec mówi o osobistej wolności, która nawet miłości nie ulegnie, na co odpowiada mu dziewczę:

„W domu ja będę czekała,
Póki się dobry nie zjawi.
Jemu się poddam, zawierzę,
Zniosę cierpliwie przywary;
Wiernie kochając i szczerze,
Zmuszę do statku i wiary.”

Widzimy w tym wierszu, w jakie cnoty obywatelskie pragnie poeta przystroić dziewczę młodą; w ostatniej zaś strofice widzimy już cnoty potrzebne dziewczynie, by być mogła dobrą żoną dla wybranego, mianowicie poddanie się zupełnie z wiarą mężowi, cierpliwość, szczerą i wierną miłość, której władza jest wielką, bo nawet płochę może „zmusić do statku i wiary,” dodaje w końcu dziewczyna:

„Serce kochane i stałe
Ciebie jagnięciem uczyni,
Wolność poczujesz i chwałę,
Przy nim żyć będziesz w pustyni.”

Taką moc przeobrażania człowieka znajduje poeta w kochającym sercu kobiety.

(Dokończenie nastąpi).

PIEŚŃ SZOPENA.

Księżycowych blasków szlakiem
Na welonach mgły
Wzleć mój duchu po nad ziemię
Ponad ból i łzy...
Oto płyną smętne skargi
Szopenowskiej pieśni...
Wzleć mój duchu i otrząśnij
Się z życiowej pleśni!

Więzy świata, co cię skuły
W jednej chwili skrusz...
Z prochem ziemi niechaj ciebie
Nic nie łączy już...
Aby tęsknić za echami
Orgii życia szumnej,
Mój ty duchu! zbyt szlachetny
Jesteś i zbyt dumny.

Wszak dla ciebie świat jest niczem...
Nie chcesz widzieć nic
Oprócz spojrzeń jej błękitu
I marmuru lic—
W pieśń Szopena zasłuchany,
U jej stóp w zachwycie,
Tybyś pragnął śnić bez końca...
Prześnić całe życie.

A gdy nieraz cię obdarzy
Jednem słówkiem swem...
Gdy zamieni w rzeczywistość
To, co było snem...
Gdy cię zbudzi z upojenia
Szaty swej szelestem —
To się korzysz jak przed bóstwem
Szepcząc: „niczem jestem.”

W modrych oczach jej rozkwita
Twego szczęścia kwiat...
W jej zamiarach Bóg dla ciebie
Zaklął cały świat...
W jednej chwili wolę twoją
Hamuje i pęta
Tajemniczym czarem twoim
Twarz jej uśmiechnięta.

Z tą jej pieśnią Szopenowską
Z bladych płynie warg
Tyle marzeń nieziszczonych
Tyle rzewnych skarg,
Na tajemną, beznadziejną
Młodych lat niedolę —
Że cień smutku legł posępny
Na wyniosłem czole.

I wierzyłem, że jej skrzydeł
Zaszeleści szmer,
Tak podobna była duchem
Z ponad ziemskich sfer...
Tym przezczystym cherubinom,
Co tak gorzko płaczą
Nad tą ziemską dolą ludzi —
Łzawą i tulącą.

A pieśń płynie coraz rzewniej...
Coraz ciszej drży,
Jak rozpaczny jęk boleści...
Jak tęsknoty łzy
Zatem szczęściem dni minionych,
Które raz wyzłaca
Tylko jedną chwilę życia...
I już nie powraca.

A pieśń płynie coraz rzewniej...
Coraz ciszej drży,
Jak zwątpienia akord głuchy,
Jak sieroce łzy...
Ostatnimi jej dźwiękami
Upajam się, pieszczę —
Pieśń skonana, ja ją jednak
W sercu słyszę jeszcze...

Z księżycowych blasków szlaku
I z welonów mgły
Spłyn mój duchu na tą ziemię...
Spłyn na ból i łzy!
Już zamilkły smętne skargi
Szopenowskiej pieśni—
Spłyn, mój duchu, powróć znowu
Do życiowej pleśni!

Władysław Nawrocki.

PAMIĘTNIKI

Adaminy z Bielskich Moszczeńskiej.

(Dalszy ciąg)

V.

Pani sędzina Wysocińska.

Już w przedpokoju rozchodziła się woń królewskiego kadzidła, kiedy szambelan zaprojektowanej kumie swojej, sędzinie, oddać miał ceremonialną wizytę. Dwóch lokajów upudrowanych, w karmazynowej liberyi, srebrnemi oszwananej galonami, stało gotowych drzwi otwierać, a stary kamerdyner oświadczyć przybyłego. W srebrnych kandelabrach jarzące paliło się światło, dywany zaścielały podłogę hotelu, przez rozwarne drzwi do sypialni ukazywało się łożo, osłonięte adamaszkiem karmazynowym, bogato złotem przybrane frędzlami, obok którego kosztowna błyszcząca srebrna gotowalnia, okryta białym muslinem, na tej osłonie lekkiej różnobarwnej wielkie lustro, koszyki, poduszeczki i puszki rozmaitego kształtu i wielkości, na których świetnej powierzchni łamały się promienie

osadzonych dwóch świec jarzących w niziutkich świecznikach. Obok kanapy pod oknem stał stolik, okryty zielonym aksamitem, a na nim piśnielnia srebrna augsburskiej roboty, pudełka i puszczone fantastyczne z materiałem piśmieniem i stosik pięknych biletów, papieru różnokolorowego ze złożonemi brzegami, pugilares białe atlasowy złotem haftowany i piórek zakrojonych kilkanaście, owijanych złotym, srebrnym i rozmaitym jedwabiem, znaczony napisami podchlebnymi lub czułem. W wazonie alabastrowym, nie przykrytym, znajdowało się *pot-pourri*, woniejące po całym apartamencie.

Wyszła sędzina z bocznego pokoju, a z nią młodziuchne dwie panienki, za niemi sztywna guwernantka. Pani domu pulchna i okazała, nie straciła jeszcze wdzięku, ani ruchu zgrabnego. Rysy regularne, kusiły pięknie oprawne, szafirowe oczy, których blask żywy podnosił płeć białą i przejrzystą; lekki rumieniec okrywał lica owalne. Wycięcie sukni dozwalało widzieć świeżość i nadzwyczajną białosć szyi i ramion, a drobniuchne rączki okryte były pierścieniami z kosztownych kamieni wszelkich kolorów i prześlicznej oprawy. Włosy ciemne, w drobne układane kręgi, okryte były stożkiem w formie greckiego zawoju, a suknia atlasowa ze stanikiem króciutkim, stanowiła nowość, którą tylko wielkie elegantki, utrzymujące żurnale mód paryskich, nie kursujących tak powszechnie jak dziś, poszczycić się mogły. Należało bowiem do dobrego tonu być abonentką owej *chic*. Ale co najpoważniejszego w całej tej świetnej postaci było? Nóżki maleńkie, wąskie, ubrane w jedwabną pończochę, różowe atlasowe trzewiczki na koreczkach, dla podniesienia miernego wzrostu.

Panny były w białych sukienkach podług najświeższej mody, włosy obcięte, w loczki pozwijane; jedna blond, druga szatynka, a guwernantka w długim jeszcze stanie suto-faldzisto z wytapiowaną fryzurą i sztywnym bawetem, wiszącymi u łokci mankietami i w kryzie gazowej około wycięcia sukni, toczek z kwiatem na czubku fryzury i opuszczony, grzebieniem podpięty szynion z włosów. Była to owa wielka kryzys pomiędzy ciężkimi średniowiecznemi, a już pojawiającymi się herkulańskimi modami, których lekkość i nieskromność rewolucya francuzka coraz więcej rozpowszechniała.

Szelest zrobił się w przedpokoju i „pan szambelan B.“ wymówił kamerdyner, otworzywszy drzwi. Wszedł szambelan posuwisto, uklonił się w prawo i w lewo, zbliżył do pani domu, a ucałowałszy podaną rękę oświadczył, że winszuje sobie zdarzenia, które nastąpiły mu sposobność poznania tak godnej osoby, ile że powinowactwo religijne, jakie mu jest przeznaczone, rokuje miłą nadzieję zaprzyjaźnienia, na co sobie będzie chciał zasłużyć.

Uprzejmym odpowiedziała sędzina ukłonem, panienki lekko się skłoniły, guwernantka dygnęła wolno i poważnie.

— Przedewszystkiem, szambelanie, chciej łaskawie zająć miejsce.

Uklonił się raz jeszcze, odjął szpadę od boku, i zasiadł na wskazanym przy kanapie fotelu.

— Karnawał zdaje się być licznie zebrany? — zagadnęła gospodyni.

— I nader świetny, kiedy go tak zajmujące osoby (tu powiódł wzrokiem po matce i córkach) uprzyjemnić raczą.

— Podchlebiasz szambelanie, jest tu wiele znakomitości; zniknąć wypadłoby nam w tak świetnym zebraniu; ale też pobyt mój jest tylko chwilowy.

— A to smutne zapowiedzenie.

— Interesa przywiodły mnie do Poznania; Kalisz mi jest bliższym; tam więcej mam stosunków.

— A gdybym tylko do nazwy tego starożytnego grodu odnosić miał moję sympatyę, to już poznanie waszmość pani dobrodziejki czyni mi go nieocenionym.

— Pełen grzeczności! i temu usposobieniu winna jestem zapewne pochlebne oświadczenia, które słyszę. Dawno szambelan tu bawi?

— Od dwóch dni.

— To już zwiedzałeś pan teatr; jak grają nie pytam, bo znane są talenta dramatyczne tej trupy; ale co grano wczoraj?

— „Nienawiść ludzi i żal,“ dramę tłómaczoną z Kocebugo. Widziałeś pani dobrodziejka grającą pannę Truskolaską? Jest to nowy talent niepospolity, którego nam pierwsze teatru Europy pozazdrościć winny.

— Znam tylko matkę; cóż jej grę odznacza?

— Już to postawy bardzo teatralne, dźwięk głosu przejmujący i miły, deklamacya doskonała, — a lubo ma być niesłychanie szpetna, nadzwyczajny sprawia efekt gra jej fizyonomii, — piękną można ją nazwać na scenie.

— A to szambelan nie miał jeszcze ciekawości poznać zblizka takiego fenomenu?

— Są to niebezpieczne znajomości, których bez żalu unikam, przenosząc iluzję teatralną nad wdzięk towarzystwa.

— Chcę wierzyć szczerości tego wyznania, ale w dzisiejszych czasach mało znalazłbyś równiegników, coby nie zwiedzali kulis.

— Wolę być z mniejszej liczby, a zachować sobie zaufanie tej klasy poci pięknej, z której wybieramy małżonki, pośród której istnieją córki, siostry i powinowate nasze. Jesteś panią matką muzyki?

— Nie tyle, ile moja Józia.

— Tu wskazała na starszą córkę, smagłą blondynkę, tak żywą, że w ciągu tej rozmowy już po trzeci raz miejsce zmieniła, przebiegłszy za każdym nowym wyborem wszystkie widome pokoje lekkim poskokiem, za każdym usiadyaniem przybrawszy bezprzesadnie zgrabną postawę.

Zwróciwszy się do młodej panienki, rzekł:

— Uproś pani mamy, aby przedłużyła swój pobyt; 15-go tego miesiąca dany będzie koncert, muzykalni cieszą się, że sławnego usłyszą wirtuoza; a pani, będąc z ich liczby, nie powinnaś opuścić sposobności poznania nowego talentu.

— Ja mało wpływam na postanowienia mamy; a jeżeli osądzi, że to przyniesie korzyść naukową, to zapewne będzie najpierwszą do zaproponowania tej mifei dla nas zabawy.

Odpowiedź ta zajęła szambelana. Druga siostra milczała; nie miał chęci zagadnienia jej, tak osłupiała była jej fizyonomia. Piękne rysy twarzy matki powtarzały się wprawdzie w tej młodej osobie, ale głowa bez żadnej proporceji z ciałem, wielka, cała twarz jakby ztłoczona brodą ku czole, i w figurze skrępowanie w tym samym było widać kierunku, a kiedy z miejsca na miejsce przechodziła, mocne kołysanie z boku na bok dowodziło skrzywienia nóg wyżej kostki. Ubiór dwóch sióstr, będąc zupełnie podobny, różnicę pomiędzy niemi mocniej jeszcze odznaczał; o ile też starsza miała talentu i żywości, o tyle młodsza była ociężała i tępą na umyśle, jak na ciecie; a jeżeli czasem głosem stłumionym wyrzekała jakie niepowołane zdanie, to tylko zachowywała w pamięci i zastosowała myśl starszej siostry.

Etykieta ówczesna nakazywała skrócenie pierwszej wizyty. Odniośł szambelan pochlebne wyobrażenie o sędzynie, może nawet upodobanie w jej osobie. Lubo wiekiem starsza, wynagradzała tę różnicę nadzwyczajną pięknością, ogładą i wytwornością w całym otoczeniu. Zdanie pani Dziewosłbskiej, jakkolwiek nisko cenionej w oczach jej dziedzica, zaczęło nabierać wagi ze stanowiska wychowania dzieci. Położenie dwóch tak znakomitych majątków obiecywało fortunę prawie książęcą, której posiadanie podnieść jeszcze zdołało nabyte przez szambelana znaczenie.

Był on w wieku, gdzie już ambicya przemaga nad słodszyimi uczuciami, których urok wcześniej był utracił. Kochał raz tylko w całej mocy pierwotnej namietności. Przeciwności majątkowe, niechęć familijne i różnica wyznania religijnego, były na przeszkodzie tej stałej miłości, a piękna Aniela R., nader czuła i wierna kochanka, uległa trawiącej chorobie, która ją do grobu wpędziła. Niepocieszony szambelan, ilekroć Kwiecień powracał, aż do schyłku życia powtarzał jeszcze elegię, napisaną na śmierć tej dzie-

wicy; „Kwietniu, ach Kwietniu, coś wszystkim miły!...“ Ale w pierwszych zaraz chwilach żalu powiedział sobie: „bluźnierstwem byłoby pamiętać Anieli zastąpić ją inną miłością; jeżeli się ożenię, to dla nadania pewnego celu życiu mojemu. Rozwaga, ale nie uczucie będą przewodniczyć moim postanowieniom, bo serce nazawsze owodniało.

(Dalszy ciąg nastąpi).

KAZIMIERZ GLIŃSKI.

ARCYDZIEŁO

dramat w pięciu aktach.

(Dalszy ciąg).

AKT II-gi.

(Pokój ten sam, co w akcie I. Alf siedzi przy fortepianie i gra. Po drugiej stronie salonu, na wysuniętym nieco foteliku siedzi Aneta wsłuchana w grę męża. Niedaleko od drzwi wchodowych z kapeluszem w ręku stoi Aleksander, za krzesłem Anety Justysia. Alf kończy grę wspólnym akordem i zwraca się do żony).

Alf. A co?

Aneta (wstając). Prześliczna!

Aleksander (zbliżając się). Brawo!

Alf (ze zdziwieniem). Oleś?..

Aneta (podbiega). Ach—pan?

(Aleksander podaje rękę, ściskając serdecznie dłoń Anety).

Alf (roztwierając ramiona). Oleś!.. kiedy? z kąd? jak?...

Aleksander. Przybyłem wezwany czarem twojej muzyki.

Alf. Koteczku! (całuje) lubku! (całuje). Chodź! (całuje) mów! (całuje). Z kąd? jak?... A, to niespodzianka, podwójnie uroczysty dzień: symfonia i ty!

Aleksander. Więc twoje to jest dzieło, którego ostatnie dźwięki zaledwie zasłyszeć mogłem? To—twoje?!

Alf (drżącym głosem). Moje... moje...

Aleksander. Dajeś nareszcie ciało marzoniom lat czterdziestu.

Alf (składając dłonie błagalnie). No—mów, mów... jest tam coś, co wpada do duszy? jest?

Aleksander. Słuchałem z podziwem, nie przypuszczając, że to—twoje, o którym dawno zwątpiłem, który śniłeś zawsze sen piękny, lecz w szatę go ubrać nie mogłeś.

Alf (z uniesieniem). A widzisz, widzisz, że na koniec stary Alf zdobył się na arcydzieło; że to, co czuł, co cierpiał, kochał kiedy—tam przelał! A wiesz ty, że gdym je tworzył, zdawało mi się, że duchy Mozarta i Bethovena unosiły się nademną, koło mnie krążyły i poddawały mi coraz to nowe dźwięki i myśli. Słyszałem, jak się związywały i rozwiązywały akordy, jak się paszaże perliły, biegły tercje i kwinty a do mych uszu wpadał szept tych półbogów muzyki: „Dalej, Alfie—dalej!... Wyteżaj wszystkie siły ducha, wszystką krew zbierz do serca—jeszcze, jeszcze... tak! Z ostatnią kroplą potu twojego czoła, ostatni akord padnie skończonej, mistrzowskiej pieśni!“ (dotyka czoła). Czoło mam zimne, suche... Ogień wszystek, cierpienia ból wszystek—zostały tam!...

Aleksander. Przewyższyłeś sam siebie, Alfie!

Alf (drżącą ręką bierze nuty z pulpitu). To moje... moje... moje... Ha! gdyby Muntek tę symfonię słyszał, odegrał...

Aleksander. Nie byłoby może w niej tyle prawdy, zapalu tyle!

Alf (kładąc nuty). Co ty mówisz?... Muntek? uczeń mój, moja chluba, pierworodny syn ducha mego!

Aleksander. Zawsze to dziecię twoje—znasz jego kaprysy, fantazyje, rozkazom ojca posłuszniejsze będzie.

Alf. Dobrze to powiedziałeś, koteczku—ale Muntek... to mistrz!

Aneta. Błogosław lepiej duchom, które nieodstępowały od ciebie w godzinach pracy.

Alf. (patrzy chwilę na nią). Cha, cha, cha! I ty uwierzyłaś w ich władzę nademną.

Aneta. Ja zawsze twoim słowom wierzę...

Alf. (biorąc jej rękę). Dobra, kochana! (całuje rękę). Wierz im zawsze, choć... teraz najnieuczciwiej skłamały.

Aneta. Skłamały?

Justysia. (która porała się koło stołu). Jego—mość nigdy nie... tego...

Alf. Muszę się przyznać do grzechu, bo wiem, moja koteczko, że jeden tylko był duch, który czuwał nademną, dodawał ognia i sił!

Aneta. Mozart?

Alf. Nie!

Aleksander. Bethoven?

Alf. I nie on!

Justysia. Pani baronowa?

Alf. Mlecz, sroko!

Aleksander. Szopen! twój ulubiony Szopen!

Alf. (śmieje się dobroduszenie). Traficie jak kulą w płot... (do Aleksandra). No? (do Anety). No?...

Aneta. Daremnie się będę trudziła—zagadki nie rozwiążę.

Alf. (porywając jej rękę). Ty, ty byłaś tym natehnionym duchem Alfa!

Aleksander. Więc po Zygmuncie pani królujesz w sercu nauczyciela, panno Aneto?

(Alf na dźwięk ostatnich dwóch wyrazów zwraca się do Aleksandra i patrzy na niego z uśmiechem wesołym).

Alf. (d. s.). Panno Aneto?... On nic nie wie...

Aneta. Ach, muszę uprzedzić pana...

Alf. Pst! pst!...

Aleksander. Co takiego?

Alf. (z uśmiechem). Jak ci się panna Aneta podoba?

Aleksander. Zawsze ładna i oddana swojemu mistrzowi, który ją, jak dawniej, koteczką swoją nazywa.

Alf. Ale czy ty wiesz czym jest teraz panna Aneta?

Aleksander. Jeżeli domyślać się wolno—to...

Alf. No? no?

Aleksander. Najpierwszą kapłanką sztuki.

Alf. E—nie! Arcykapłanem jej jest Muntek—ona czemś więcej może.

Aneta. Alfie!

Aleksander. Gubię się w domysłach.

Alf. (kładąc mu rękę na ramieniu). Żoną moją!

Aleksander. (szybko). Co?

(Wpatruje się w Anetę, która się obraca i parę kroków na bok odchodzi).

Alf. No co? żoną Alfa.. Czegoś się tak zdziwił?

Aleksander. Nic o tem nie wiedziałem stary przyjacielu!

Alf. Bo dwa lata nie byłeś u nas, przepadł gdzieś i Muntek—ja nie wiedziałem jak donieść wam o tem. (Bierze go za rękę). Tak, Olesiu!... Aneta jest moją i ta symfonia—jej dziełem!

Aneta. Twojem jest wszystko i ja wszystko tobie zawdzięczam.

Alf. Mnie?... co? że masz kawał dachu nad głową?

Aneta. A twoje serce?

Alf. (z uśmiechem smutku). Królewski prezent! owoc zwiędły przy pączku róży... (do Aleksandra). A jednak ona pokochała Alfa. Mam spokój, ciszę, szczęście i—pomijając darów tych wszystkich—twórczym natchnęła mnie duchem.

Aneta. Nie wierz mu pan!

Alf. (do Aleksandra). Przekonam cię zaraz... Siadajcie!... (bierze ich za ręce). Ty tu—ty tu, a ja pośrodku, (siadają—Alf spostrzega Justysię). Justysiu!... Jak tobie moja symfonia się podobała?

Justysia. Symfonia to nicego—ino...

Alf. Co?

Aleksander. Śmiało, dziewucho!

Justysia. Kiej Jontek urznie na skrzypicach, to same nogi tańcujom.

(Aneta i Aleksander śmieją się).

Alf. (wstając). Dawaj kawy, dziobata sroko!... (Justyna wychodzi). Jontek! słyszałeś? (siada).

Aleksander. Słuchamy dziejów twojej symfonii.

Alf. Znasz mnie nie od dzisiaj Olesiu!

Aleksander. Od lat czterdziestu, Alfie!

Alf. To kawał czasu, serdenko—kawał czasu! Nie zliczysz grobów, które w przeciągu lat tych w ziemi wykopano, nie zliczysz kolebek, które się na swych biegunach zakołysały. Miałem wtedy lat dwadzieścia jeden, co razem do kupy wzięwszy—nie mała paczka. A jednak, gdy człek spojrzy za plecy, to zdaje mu się, że niby z pokoju do pokoju przeszedł, drzwi tylko jeszcze nie zatrzaskał za sobą, po za którymi zostało rupieci trochę. Urodziłem się muzykiem, dzieckiem będąc do fortepianu się rwałem. Mając lat jedenaście upajałem się Bethovenem: „dorównam mu, przewyższę!” szeptałem w zarożumiałości młodzieńczej—i, od kiedy zapamiętam—nosiłem się z myślą stworzenia arcydzieła. Tymczasem na chleb trzeba było pracować, dni upływały za dniami a nie wychodziło z duszy Alfa. „Jutro—mówiłem—do pracy jutro, dziś czasu nie ma.” Razu pewnego wychodziłem, jak zwykle, na lekcye, gdy nagle wzrok mój padł w zwierciadło. Stałem i z jakimś przerażeniem patrzyłem na siebie. Na czole zmarszczki, przy ustach zmarszczki a na głowie miałem mleko: „To ja?” rzuciłem w duchu sam sobie pytanie. A ten drugi Alf patrzył na mnie z szybko zwierciadła z jakimś uśmiechem ironicznym i mówił: „To starość!” Ach! jak mi się smutno zrobiło, gdy tę odpowiedź posłyszałem! Starość nie zna zapałów, nie zna uniesień, nie wydzwoni pieśni królewskiej. Rzuciłem się w fotel, w ten sam fotel, na którym teraz siedzę a myśli czarne snuły mi się po głowie. Czterdzieści lat pracy minęło—i cóżem zrobił?... Nic... Czy wiesz, że płakałem?

Aleksander. I nie słusznie, boś zrobił więcej niż jeden człowiek uczynić jest wstanie.

Alf. Co ty mówisz, Olesiu? co ja zrobiłem?

Aleksander. Tak, Alfie! Nauczycielstwo dawało ci ledwo chleb powszedni, choć mogłeś złoć to kopać. Większą część pracy oddawałeś bezpłatnie tym, w których dojrzałeś prawdziwą iskrę talentu. Wieluż to dziś zawdzięcza byt tobie! Są profesorami konserwatorium lub zbierają oklaski i pieniądze na scenach świata. A Zygmun? Czy nie byłeś mu ojcem prawdziwym? Komu dzisiejszy zawdzięcza swój rozgłos!

Alf. Muntek—to olbrzym, chluba moja!

Aleksander. A tylu innych?

Aneta. A ja, Alfie?

Alf. I cóż ja wielkiego zrobiłem, koteczki? Rozdałem trochę siebie—nie więcej! Miałem odrzucić tych, którzy garnęli się do mnie, odrzucić, bo nie mogli mi za odrobiny oddanego im czasu zapłacić?...

Aleksander. Ale ten czas był twoją własnością.

Alf. Przez Boga dany do podziału, serdenko!

Aleksander. Nie dziw się więc, żeś ujrzał włos białą na głowie, a nie mogłeś urzeczywistnić marzeń lat młodych.

Alf. Jak było to było, Olesiu, ale to mleko kamieniem młyńskim mnie przygniotło. Czterdzieści lat bratania się z Bethovenem i Mozartem, czterdzieści lat rojeń i nie! Aż oto do domu mojego weszła Neta, z nią jakąś cisza, jakieś tchnienie wiosenne. Dawno zamarłe głosy odezwały się mi w duszy, pożegnane pragnienia i rojenia powstały wszystkie razem. I oto, teraz... (wstaje—z dumą) Alf, ten skromny nauczyciel muzyki, ten trup o białych włosach z sercem przewidywłem, z mózgiem wyschniętym do niejednego pokolenia przemawiać będzie tem wzniosłem, symfonicznem dziełem! Łabędzi to śpiew, ale tak wielki, jak szczęście, które mi ona dała!

Aneta. (zbliżając się). Alfie!

Alf. (drżący, tuli ją). Ostatni kwiat życia rzuciłaś mi pod nogi, ostatni sen Alfa przy tobie się wyśnił! (Ślania się).

Aleksander. (wstaje szybko). Ty drżysz!

Alf. (siada, opierając się o fotel). Nic... nic, koteczku—to ze wzruszenia... (Aneta pochyla się i całuje go w czoło). Widzisz—po każdym takim dotknięciu jej ust nową symfonię napisać można...

(Wchodzi Justysia z kawą).

Justysia. Pani baronowa kazała zapytać, czy pan metr dziś przyjdzie na lekcjom?

Alf. (zrywa się i dobywa zegarek). A tom się zagadał koteczki! Dwunasta! Baronowa od pół godziny na mnie czeka (bierze szybko kapelusz). Od lat czterdziestu pierwszy raz się spóźniłem. Pijcie serdenki, kawę bezemnie... (zawijając szalik na szyję). Od lat czterdziestu pierwszy raz! (do Aleksandra). Adieu! (do Anety). Nie puszczaj go, Neta! (do Justysi). Zamknij za mną drzwi, sroko!

(Wychodzi—za nim Justysia).

(Chwila milczenia—Aneta stoi przy stole z głową opuszczoną—Aleksander patrzy na nią).

Aleksander. (powoli). Więc pani żoną Alfa.

Aneta. (podnosząc głowę). Dziwi to pana?

Aleksander. (jakby do siebie). Spóźniłem się.

Aneta. (zasłyszawszy—szybko). Z czym?

Aleksander. (jakby zbudzony). Czy co powiedziałem? (bierze kapelusz).

Aneta. (podechodząc). Co? pan iść chcesz? (bierze mu z rąk kapelusz). O, nie! Coby Alf powiedział, gdybym nie umiała zatrzymać pana? Usiądź pan, wypij wraz ze mną kawę i—wyłumacz się z mimowoli rzuconego przed chwilą a zagadkowego o opóźnieniu się słowa.

Aleksander. Zostać mogę, tylko bez wypełnienia drugiego rozkazu.

Aneta. (nalewając kawę). Dla czego? (podaje). Mów pan?

Aleksander. By nie rozdrażniać pani...

Aneta. O! jestem spokojna...

Aleksander. Tem lepiej.

Aneta. Zatem?

Aleksander. Pijmy kawę...

Aneta. Pan się obawiasz o mnie, obawiasz się może poruszać wspomnień, które mnie już nie nie obchodzą?

Aleksander. (stawiając szybko filiżankę). Tak?

Aneta. Tak! choćby w nich nawet stał pan Zygmunt...

Aleksander. Al! to uspakajasz mnie pani i rozwiązujeś usta. Nawet lepiej, jeżeli tajemnica tajemnicą dla pani nie będzie. Uprzedzona, zastosujesz się pani lepiej do roli, jaką odegrać będziesz musiała.

Aneta. Odgadłam, że pana Zygmunta na myśli pan miałeś.

Aleksander. Spokój, z jakim pani imię jego wymawiasz, mówi, że serce jej zupełnie jest wolne. Szczęśliwy Alf!

Aneta. Z czym pan się spóźniłeś?

Aleksander. Z poselstwem od Zygmunta, który przeze mnie chciał prosić panią o rękę.

Aneta. Miał ją i nie brał... Dziś zaś?

Aleksander. Chciał ją przytulić do swojej piersi...

Aneta. A baronowa?

Aleksander. Czyż nie rzuciwszy jej mógłby myśleć o pani? Nie wiesz—że, że baronowa była jego złym duchem, że z powodu niej zatrzymał się w połowie drogi do sławy, że świetny talent zmarniał w objęciach tej...

Aneta. Szczegółów nie znam—opowiedz mi je pan.

Aleksander. Alf niedomyśla się nawet winy Zygmunta—oszczędzałem to serce zacne. Pan Zygmunt był ulubieńcem Alfa, to doś, bym i ja go ukochał. Świetny talent wróżył mu przyszłość wspaniałą. Była chwila, że całem sercem pokochał panią i pani—zdaje mi się, że odpłacałaś mu wzajemnością.

Aneta. (wpadając powoli w zamyślenie). Tak—kochałam pana Zygmunta...

Aleksander. Przypomina pani jego pierwszy koncert, zachwyty tłumów, lzy Alfa?..

Aneta. I moje.

Aleksander. Tak—pani byłaś szczęśliwa, że jej wybrany zyskiwał uznanie ludzi. Pierwsze domy naszego miasta otwarły się przed nim, ubiegano się o jego względy, o pierwszeństwo wizyt. Wówczas i Alf w znaczeniu urosł, więcej miał zamówień na lekcję, brakło mu godzin w dniu. Odmawiał, to już z czterdziestoletniej niemal pracy ten domek sobie postawił, a każdą chwilę miał zajęta bezpłatnymi lekcjami. Powodzenie Zygmunta napełniało go niewysłowioną dumą.

Aneta (jakby senna). I mnie.

Aleksander. Zazdrościli mu mężczyźni, szalały za nim kobiety.

Aneta (j. w.). I ja.

Aleksander. I bylibyście szczęśliwi, gdyby go woń nie odurzyła kadzidel. Zgubiła go pycha. Uśmiechy hrabianek i księżniczek brał jako monety przysyłaną dla siebie, nie dla swojej gry mistrzowskiej.

Aneta. I za malutką wydała mu się Aneta.

Aleksander. Za beczelną była tylko baronowa!

Aneta (coraz ciszej). Mów pan—to powieść bardzo ciekawa.

Aleksander. A dla mnie nad wyraz smutna...

Aneta. Rozszalał się w baronowej.

Aleksander. I skrzydła orle połamał. Wyjechał do Paryża—tam mieli się spotkać... i spotkali.

Aneta. Mam od niego list ztamtąd, wracający mi słowo.

Aleksander. Dwa lata szalu, dwa lata tarzania się w błocie! I dziwne! jak jego talent zaczął szybko zamierać, nie wykonał, lecz twórczy. Po świetnym wstępie zaczęło się okrutne cofanie. Myśl senna nie była zdolna żadnego dzieła większej wartości wykonać. Wracałem wtedy z podróży z Nowego Świata, spotkałem go w Paryżu w stanie zupełnej bezwładności duchowej. Chciałem go obudzić, powstrzymać nad brzegiem przepaści... wspomniałem o pani!

Aneta (szybko, wstając). I on—i on co?

Aleksander (wstając). Obudził się... Baronowej w twarz rzucił obelgę a ramiona ku zmartwychwstałej przeszłości wyciągnął (Aneta drżącasiada—Aleksander także). I oto wysłał mnie do pani z prośbą, bym u stóp jej przebaczenia błagał. Ptak z obwisłym skrzydłem chciał szukać balsamu na ranę krwawą przy twojem sercu. Wyrwał się sam jechać, lecz go powstrzymałem. Gdy poselstwo będzie przyjęte, miałem go zawiadomić telegramem. Przyjeżdżam—i zastaję panią... żoną Alfa.

Aneta. Pan się zapalasza, mówiąc o panu Zygmuncie.

Aleksander. Tak—uniosłem się, uniosłem się zanadto, to prawda! ale mnie boli wszelki upadek ducha; cierpię, gdy widzę zmarnowane skarby talentu, a on był magnatem!... Ocknięcie się jego, lwa rozbudzeniem zwać by się mogło; widziałem wzmagającą się w nim siłę, wskrzeszenie umarłego dawno natchnienia... Dziś (wstaje), co ja mu powiem? (szybko). Jak pani okropnie zbladła!...

Aneta (wstając, drżącym głosem). Nie... nie—to ostatni ból za minioną przeszłością!

(Idzie, chwiejąc się i opiera się o fotel).

Aleksander (z przerażeniem). Pani go jeszcze kochasz! (Aneta drży, tłumiąc łkanie). A tak mnie oszukiwałeś spokojem swoim.

Aneta. Wybacz pan... Chciałam się dowiedzieć... o tamtym. Pan byś inaczej nie mnie nie powiedział.

Aleksander. Popeliłem zbrodnię, rozdmuchując w sercu pani iskrę przycisnąjącą.

Aneta (oddychając głęboko). Już zgasiła! (z wzmuszonym uśmiechem). Pannie wierzysz? Al! spodziewałam się być silniejszą!... A co masz pan odpowiedzieć kochankowi pani baronowej, odpowiedz to, co widział. Jestem żoną Alfa, któremu zawdzięczam wszystko! Widzieć go nie mogę—nie chcę!

(Wbiega rozpromieniony Alf z telegramem).

Alf. Muntek! Muntek!... Dziś... przyjeżdża do mnie... Muntek!... Słuchajcie, koteczki, co telegrafuje... mój Muntek! „Tęsknię.“ Uważacie, serdenki? „Nie czekam telegramu Aleksandra...“ Tego nie rozumiem... „Dziś, stary, w ramiona ci wpadnę!“ W ramiona moje wpadnie mój Mun... (Patrzy). Co z wami się porobiło?

Aleksander. Tobie radość rozwiązała—nam związała usta.

Alf. A—to co innego! (czyta). „W ramiona ci wpadnę...“ Jeżeli ja nie zwaruję z radości to będzie łaska Pana Boga (czyta).

Aleksander (do Anety szeptem). Śpieszę—pociąg przychodzi za chwilę—muszę go zatrzymać...

(Chwyta kapelusz i wybiega).

Alf. Oleś! Oleś! (do Anety). Co go tak przypiekiło, koteczko?

Aneta. Pewnie poszedł na spotkanie pana Zygmunta.

Alf. Jak tu wszyscy mojego Muntka kochają! No—koteńko, zaprzatnij się koło gospodarstwa. Pianino, które stoi w moim pokoju, to najlepsze jakie mam pianino, każesz wnieść tam! (pokazuje). Muntek zawsze w pokoju tamtym sypiał. Ustawimy także pod oknem mahoniowy kantorek, jak to dawniej bywało... a ja—uważasz serdenko—zrobię mu niespodziankę i na pulpicie swoją symfonię położę. Teraz pobiegij do Justysi i powiedz, żeby rosół nie zbiegł a pieczeń nie przepaliła się. Po wino burgundzkie sam pobiegnę, żeby wiedział, iż Alf o niczem nie zapominał w czym tylko on smakował... (bierze kapelusz i łaskę), kawę czarną z koniakiem także przygotowujesz... (szuka na biurku). Gdzież u diabła pieniądze położyłem?

Aneta (podechodzą i kładzie mu rękę na ramieniu). Alfie!

Alf. Co, koteczko?

Aneta. Zrób mi jedną łaskę.

Alf. Wszystko, serdenko!

Aneta. Dom twój dzisiaj nie jest tem czem był dawniej. Panu Zygmunutowi swobodniej będzie w hotelu, tu miejsca zamało.

Alf. Muntek w hotelu?

Aneta. Ja będę nawet mniej żenowana.

Alf. Czyż ty go nie znasz, Neto?

Aneta. Proszę ciebie.

Alf. Ależ koteńko moja—telegrafuje, że wpadnie do mnie, jakże go wyrzucę—Muntka? Tobie się coś pomieszało, Nenenol! Ale—ale... Jutro u baronowej bal—prosiłi żebym koniecznie był z tobą.

Aneta. Ja—u baronowej?...

Alf. No—albo co?

Aneta. Nie byłam tam dotąd...

Alf. To można teraz być, koteńko!

Aneta. Nie, Alfie—ja tego nie zrobię...

Alf. Dla czego, Neto?

Aneta. Nie lubię baronowej.

Alf. Więc ty naprawdę nie chcesz być u niej?

Aneta. Proszę ciebie...

Alf. No—to ustępstwo za ustępstwo: u baronowej nie będziesz, natomiast Muntek zamieszka u nas. Wóz i przewóz, Neto!

Aneta (w zamyśleniu). Chcesz więc koniecznie tego...

Alf (składając ręce). Widzisz, mnie byłoby bardzo smutno, gdyby Muntek tu nie zamieszkał... Moja Netko!

Aneta (po chwili). Dobrze! Idę wydać stosowne rozkazy... (idzie—zatrzymuje się—d. s.). Cóż on mnie obchodzić może—dzisiaj? Odepchnął, zapomniał—odepchnął i ja potrafię, zapomnieć... może także potrafię.

Alf (znalazłszy pugilares). Są! (nakłada słomiany kapelusz i bierze łaskę). Idź, moja Neto, a ja po wino burgundzkie ruszam!

(Aneta odchodzi, Alf do drzwi się zbliża, które się otwierają i wpada Zygmunt).

Alf (roztwierając ramiona, łaska wypada), Muntek!

Zygmunt. Jestem mój pocziwy nauczycielu! (rzuca się w ramiona).

Alf (całując go). Moje ty... dziecko! Mój Muntek! Przypomniałeś sobie starego Alfa!

Zygmunt. Czym kiedy zapomniał o tobie?

Alf. To może i szelmstwo byłoby, koteczku, bo syna rodzzonego nie mógłbym kochać więcej! (ociera łzy). Przyjechałeś, niezapomniałeś! (rzuca kapelusz i podejmuje łaskę). No chodź—siadaj, bo mi serce krakowiaka tańczy, że wytrzymać nie mogę.

Zygmunt. Ależ posiwiałeś, mój Alsiu!

Alf. Sześćdziesiąt i oko.

Zygmunt. Lecz jeszcze głową nie trzęsiesz?

Alf. Ale nogami to już posunę czasami.

Zygmunt (rozglądając się). Jednak tu teraz u ciebie coś tak wygląda, jakby się gospodyni jakaś krzątała. (Podechodzą do wazonów). Kwiaty podlane, a pamiętam, że dawniej zawsze zapomniałeś o tem... A pachnie!... Co to jest, mój stary—ha?...

Alf (śmiejąc się). Jest, jest—przyznaję się do grzechu...

Zygmunt. Taak?

Alf. Tak.

Zygmunt (biorąc go za ramię). Ładna?

Alf. Niczego.

Zygmunt. Mówno dalej!

Alf. Ożeniłem się.

Zygmunt. Co—ty?

Alf. Ot, widzisz, coś w serce powiało i...

Zygmunt. Paf! Brawo kościany mój dziadku, ale z kim?

Alf. Zaraz, zaraz... Takich rzeczy nie mówi się od razu. Słysz—idzie... Stań tu i przypatrz się...

(Wchodzi Aneta).

Zygmunt (drgnawszy). Aneta!

Alf. A co—nie spodziewałeś się, koteczku, ażeś krzyknął ze zdziwienia. Jaby to samo na miejscu twojem zrobił! No—ale wierz przecie, że róża przy lilii dobrze wygląda. Przypatrzcie się sobie, przypomnijcie—a ja po wino burgundzkie idę, które tak zawsze lubieś, mój Muntek! (bierze kapelusz i łaskę). Zabaw go Neto!...

(Wychodzi).

Zygmunt. Pani—żoną starego Alfa?

(Wpada w śmiech).

Aneta. Panie Zygmuncie! wstąpiłeś pan pod dach domu, który uszanować powinienś.

Zygmunt. Dla tego, że stary? że ma ściany przez szaszle zjedzone?

Aneta. Że tu mieszka człowiek, który był ojcem dla pana...

Zygmunt. A teraz został mężem pani, tak syna ukochał!

Aneta. On nic nie wiedział, że ja... że pan... że kiedyś...

Zygmunt. Że kiedyś dwa serca w zgodny rytm biły, że tu, w tym załomie salonu, w pierwszym uniesieniu miłości, przy cichym szepcie: kocham! twoje usta na moich spoczęły, gdy on o zmroku czar w serca lał nasze boską melodią Szumana?

Aneta. Za prędkoś pan stracił ten pocałunek z ust swoich, za prędko one do innych przylgnęły!

Zygmunt. Prawda! upoiła mnie woń narkotykiem, lecz usta te, które ja dotykałem nie były tak zwiedle, tak suche, tak od lat spękane, jak te, które pani dzisiaj całujesz.

Aneta. Niezapominaj pan, że jestem żoną Alfa!

Zygmunt. Pamiętam, że mnie kochałaś i kochać musisz (zbliża się).

Aneta (cofając się). Panie Zygmuncie!

Zygmunt (stając). Nie kochasz?

Aneta (po chwili cicho). Nie...

Zygmunt. Tak cię ten trup ubezwładnił, tyle zimna do żył twych nalał?

Aneta (porusza się). Trup ten mnie wydarł!

z rąk nędzy; gdy marłam z głodu dawał chleb i naukę...

Zygmunt. W jakiej-że chwili oddał siebie?

Aneta. W chwili, gdy mu nie chciałam być ciężarem, gdy mi chleb jałmużny zaciężył. Z jaką obawą, z jaką trwogą wypowiadał on słowa, które mnie do ołtarza zawiodły. Gdy nie miałam sił zabić tego zacnego serca, w którym ostatni, nieznany mu dotąd rozwinął się kwiat uczucia i drżąca, biedna—bo jeszcze kochałam pana... głowę oparłam na jego piersi... jakie łzy radości błysnęły mu w oczach!... I ja płakałam—bo w duszy mi lkało coś, jak serce, gdy kona z bólesci, jak szczęście nikczemnie zabite!

Zygmunt. Aneto! Aneto! ty kochasz dziś, dziś kochasz jeszcze tego, który cię zabił. Ogarnął mnie szal, trwał długo, dopóki nie uczułem w sobie zamierania wszystkiego, co mi było życiem, szczęściem, młodzieńczych lat marzeniem. Lecz nadeszła otrzeźwienia się chwila, zaczęły się budzić wspomnienia dawne, przypomniałem sny nasze i tę melodię Szumana i ten, który ją zakończył pocałunek. Dziś, odmlodzony, ze wskrzeszoną iskrą talentu, wyrwawszy się z objęć węzowych, z wiarą w przyszłość przybywam do ciebie - i ty...

Aneta. Odrzucasz chciałeś pan powiedzieć... Tak!

Zygmunt (z mocą). Dla czego? dla kogo?.. Krew twoja rozgrzać się nie może w zimnych uściskach starca, zwiędłe usta nie wleją rozkoszy do duszy spragnionej miłosnych upojeń. Wstrętnym jest pajak oplatający liść rozkwitniętej róży, ohydny jest starzec kołyszący się w ramionach młodych. Skłamałaś mi miłość dawniej, jak teraz mi obojętność kłamiesz... Ty kochasz mnie—kochasz—kochasz!...

Aneta. Nie powinnam mówić z panem, ściany tego domu nie powinny słów pańskich słyszeć... Idź pan—idź... proszę—błagam... (Z przestraszeniem do zbliżającego się Zygmunta). Nie do mnie tylko... nie—do mnie!...

Zygmunt (wyciągając ramiona). Aneto—Aneto—Aneto!

Aneta (odskakując). Stój pan... bo zadzwonię!

Zygmunt. Upadły—przybyłem zaczerpnąć sił przy tobie, zbrukany chciałem się omyć w źródło twojej miłości a ty mi iść każesz?

Aneta. Tak... tak... tak!...

Zygmunt (z szaleńcem). Dokąd?

Aneta. Idź, gdzie chcesz... tylko idź!

Zygmunt. Chyba w objęcia porzucone niedawno, by tam zginąć, zagasić ostatnie światło duszy! (Biegnie do drzwi, Aneta z płaczem rzuca się na sofę Zygmunt podbiega do niej i szepce jej w ucho). W twych rękach szczęście, przyśrodek i sława moja—pamiętaj! (Wybiega).

Aneta (w pół przytomnie). Sława! szczęście!... on mi o swoim szczęściu, o swojej sławie mówi... (wstaje). A! budzi się wszystko—pragnienie rozkoszy, upojeń, szalu... (wstrząsa się). Nie, nie, nie! to za nikczemnie by było... za nikczemnie... (słyszając kroki) Alf wraca... odwagi, spokoju (Alf wchodzi—Aneta z przestraszeniem). Jak on postarzał dziwnie!

Alf (z butelką). Burgund, prawdziwy burgund! (stawia butelkę). A gdzie Muntek? Neto! gdzie ty Muntka podziela?

Aneta. Wyszedł na miasto... za obiad dziękował...

Alf. I tyś go nie zatrzymała?

Aneta. Ma sprawy jakieś ważne...

Alf (ze smutkiem). Niedobry! a ja tak tęskniłem do niego!

Aneta. Alfie!... ja jutro będę na balu...

Alf (uradowany). Ach! jaka ty dobra, Neto!... dziękuję ci, koteczko! (całuje ją) dziękuję!

Aneta (wzdrygnawszy się d. s.). Jakiego usta zwiędłe... zimne...

(Koniec aktu drugiego).

Z PARYŻA.

Początek Września.

Rada municypalna miasta Paryża ma stały zwyczaj wszelkie ruinacy, jakie nieodzowne są przy naprawie bruków, zaprowadzaniu nowych rur gazowych, odnawianiu gmachów i t. p. robotach, skutecznie w ciągu trzech lub czterech miesięcy letnich. Nigdy miesiąc letni nie był bardziej letnim, nigdy dni kanikuły nie były prawdziwszą kanikulą i nigdy miasto nie wyglądało bardziej spustoszone i rozkopane, jak podczas zeszłego miesiąca. Rada miejska zatwierdziła wysoki kredyt, aby Paryż przed rokiem 1900 upiększyć i wszystko, co w mieście jest zniszczone i zużyte, doprowadzić do należytego porządku. Nie szczędzą więc asfaltu, drzewa i kamieni. Przykry zapach asfaltu przesycę powietrze i miesza się z rozlicznymi zapachami, jakich podczas lata nie brak w tak wielkiem mieście.

Stanowiąc na moście Concorde i spojrzawszy na lewo, widzimy po obu stronach Sekwany, piętrzące się sterty piasku i kamieni, przerywane jedynie budowlanymi ogrodzeniami. Na lewo, na Quai Voltaire, dalej na Quai d'Orsay, rozłożone są roboty nowej linii kolei Orleańskiej. Kompanja tej kolei otrzymała od rady miejskiej koncesję na przedłużenie linii, która kończyła się przy dosyć oddalonym od środka miasta dworcu Orleańskim. Obecnie szyny mają być przeciągnięte do samego serca miasta, do jednej z najpiękniejszych dzielnic Paryża. Przesteczne, malownicze, bluszczem porośnięte i zamieszkane przez tysiące ptaszek ruiny Cour des Camptes, ów olbrzymi pomnik zacieklności komunistów, znikły bez śladu, na miejscu ich wzniesiony zostanie dworzec.

Paryżanie, którzy się tak chętnie porównują z Ateńczykami, mają też między sobą Herrostratów, — dziesiątki ich znajdują się w radzie miejskiej.

Prawa strona od mostu Concorde, jest jeszcze bardziej robotami zarzucona.

Wysokie ogrodzenie budowlane zajmuje całą przestrzeń między Polami Elizejskimi a brzegiem Sekwany. Setki robotników pracują tam przy budowie dwóch pałaców, przygotowywanych na wystawę, a wznoszących się na miejscu dawnego Palais d'Industrie. Pałace te mają ozdabiać obie strony nowej Avenue, która prowadzi z Pól Elizejskich przez most Aleksandra III na Esplanadę Inwalidów. Oile nowa Avenue piękny przedstawiać będzie widok, zdania są podzielone. Niektórzy zarzucają, że Avenue straci wiele na tem, iż nie pod kątem prostym, lecz ostrym nieco dochodzi do Pól Elizejskich, przez co nie będzie dawała od strony Pól odkrytego widoku na wspaniałą fasadę pałacu Inwalidów. Podwyższenie gruntu na Esplanadzie z powodu budowy podziemnego banhofu, także wiele popsuć może z obecnego piękna tego placu, któryby raczej parkiem nazwać należało. Podziemny banhof, dla którego w tem miejscu obrano siedlisko, będzie banhofem kolei, idącej pod brukiem jednego i drugiego Quai, wzdłuż Sekwany ku zachodowi. Prowadzić będzie do Meudon i do zachodnich przedmieści. Kolej owa niewątpliwie ze względów praktycznych wielkie będzie miała zastosowanie, lecz do upiększenia miasta bynajmniej się nie przyczyni.

Roboty około budowy mostu Aleksandra i gmachów przeznaczonych na wystawę, prowadzone są z gorączkowym nateżeniem. Wiele przy nich jeszcze do oglądania nie ma, ale za to gruzu, kurzu i ogrodzeń co niemiara. Niebo łaskawe raczej wiedzieć, w jaki sposób wystawa do wiosny 1900 roku zostanie ukończoną, bo chyba komisarz generalny nie ma o tem pojęcia. Rozchodzą się tu wieści o grożącym bezrobociu zajętych przy budowlach rzemieślników, a gdyby ono do-

szło do skutku, łatwo sobie wyobrazić kłopoty pana komisarza.

Nie do pozazdroszczenia jest los mieszkańców dzielnicy, w której od rana do nocy przewija się tysiące robotników. Nieprzyjemności z powodu przyszłej wystawy, zmuszają niektórych właścicieli eleganckich pałacików do opuszczenia miasta.

Jako przeciwstawienie z takim przejęciem i pośpiechem wykonywanych robót, zaznaczyć można leniwe budowanie Opery Komicznej, która dotychczas nie jest jeszcze zupełnie ukończoną. Budowa tego gmachu służyła przez długi szereg lat pismom humorystycznym za przedmiot żartów i pośmiewiska; utrzymywano, że nigdy nie dojdzie do końca. Każdy żart ma jednak swój koniec i Opera Komiczna jest już nareszcie na ukończeniu. Trzeba przyznać, że warto było poczekać na coś tak pięknego. Jak prawdziwy Phönix powstała z popiołów starego, spalonego teatru.

Ten, kto by pod nazwą Phönix rozumiał coś nadzwyczaj bogatego, kapiącego od złota i kosztownych ozdób, byłby zawiedziony, gmach opery odznacza się nadzwyczajnym gustem, połączonym z wykwintną prostotą. Nieodżałowaną jest szkoda, że frontem nie jest zwrócony do Bulwarów, lecz do wężkiej i wcale niepięknej uliczki. Właściciele domów przy Bulwarach żądali za swoje grunty takie bajeczne sumy, że zapłacenie ich było wprost niemożliwe i prześliczny gmach Opery znalazł się w miejscu brzydkim, i zacieśnionem, tak że nietylko przez otoczenie zeszpecony został, ale wzbudza też mimowolną obawę niebezpieczeństwa. Uliczka przed teatrem jest tak wązka, że trudno sobie wyobrazić, w jaki sposób dojechałaby tam w razie pożaru straż i gdzieby się tłum wychodzący z teatru pomieścił. Doprawdy, że należy żałować utalentowanego architekta, którego piękne dzieło stoi w miejscu, wystarczającym zaledwie dla szkółki miejskiej.

Lasek Buloński otrzymał ma gazowe oświetlenie. Zginie romantyczność, ale razem z nią zginąć może mniej romantyczne spotkania, zazwyczaj się zwykłe od słów: „pieniądze albo życie.“

Podczas gorących wieczorów zeszłego miesiąca, w Lasku panowało takie ożywienie, o jakim żaden z mieszkańców każdej innej stolicy Europy nie może mieć pojęcia, „Bois-Restaurant“, „Pavillon d'Armanonville“ i nierównanie elegancki „Pavillon de Madrid“, były w oblężeniu. Publiczność zapelniająca te wytworne restauracje i kawiarnie, nie jest wprawdzie o tej porze podobną do publiczności, bywającej tam w sezonie wiosennym, każdy prawie przechodzi po obiedzie i przy szkłance limonady lub grogu zachwyca się cygańską muzyką, ale rojno, gwaro, nigdzie miejsca znaleźć niemożna. Niewiadomo gdzie jest najweselsiej, czy w wyżej przytoczonych lokalach, czy może w „Pavillon Chinois“, czy w „Kaskadzie“, czy w „Touring-club“. Wszędzie słychać dźwięki modnej dziś w Paryżu cygańskiej orkiestry, a w wielu miejscach dla dopełnienia koncertu śpiewają neapolitańscy śpiewacy.

Najpiękniej wyglądają restauracje, położone w głębi Lasku. Goście przybywają w powozach i dorożkach, które wjeżdżają aż pod werendę. Publiczność, siedząca przy stołach, zdaleka widzi przybywających, co jej także pewnej dostarcza rozrywki.

W niedzielę i święta tłum, napływający do Lasku, jeszcze bardziej odmienny przedstawia charakter. Do późna, bo często dobrze już po północy, w ciemnych alejach świecą setki kolorowych lampek. Są to papierowe latarki o fantastycznych kształtach, zawieszane przy rowach, przebiegających przez wszystkie aleje Lasku. Przed zapelnionym ogrodem „Touring-clubu“ stoją albo siedzą na piasku muzycy bezplatni słuchacze, i zachwycają się hałaśliwą muzyką, dyrygowaną przez Włocha, ubranego w jedwabie, a wyglądającego jak pajac na jarmarku. W alejach, mniej w głębi lasku położonych i na trawnikach, na prawo i na lewo, porozkładają

się całe rodziny, co bynajmniej eleganckiemu Laskowi nie dodaje uroku. Prozaiczne gazowe latarnie, niedyskretnem, dalej aniżeli lampki cyklistów sięgającym światłem, prawdopodobnie utrudnią wielce taką bezceremonialną swobodę.

Wracając jeszcze do wystawy, wspomnieć muszę o niezadowoleniu paryżskich artystów, z Salonu, przeznaczonego na rok 1900. Uważają oni, że miejsce nań wybrane jest nieodpowiednie. Plany pałacu Sztuk pięknych, który obok wystawy obcych mistrzów ma pomieścić obydwaj Salony, nie zadawalniają tutejszych artystów. Wybrali obecnie z pomiędzy siebie komitet, który ma z „Société nationale” kwestyę tę omówić, lub zadecydować obranie dla Salonu innego pomieszczenia. Przeprowadzenie tego żądania nie obejdzie się prawdopodobnie bez hałasu.

Jeśli fundusze, przeznaczone na wystawę, starczą na wykonanie jeszcze jednego pięknego projektu, w takim razie Paryż zyska ozdobę prawdziwie godną widzenia.

Projektują mianowicie wspaniałe przyozdobienie Panteonu. Obok statui Falguière'a, przedstawiającej „Rewolucyę,” mają stanąć po lewej i po prawej stronie posągi Rousseau'a, i Voltaire'a. W nawie zaś biusty: Descartes'a, Wiktora Hugo i Mirabeau. Przy filarach upostaciowane będą cztery wielkie epoki w historii Francji: wieki średnie, wiek odrodzenia, wiek XVII i XVIII.

W kolumnadzie ustawione zostaną popiersia wielkich mężów Francji.

Teatry próżnują jeszcze. Wybitniejsze sceny dopiero z końcem bieżącego miesiąca powitają publiczność nowościami.

Ostatnia opera Saint-Saens'a „Dejanire,” wystawiona w końcu zeszłego miesiąca w specjalnie dla niej zbudowanym letnim teatrze w Beziers, dotychczas ściągaliśmy słuchaczy. Dziecię tysięcy widzów pomieścić może olbrzymi amfiteatr, wzniesiony pod gołym niebem; mistrz sam dyrygował budową teatru, a teraz dyryguje swoim dziełem. Akustyka sceny jest wyborną; ani jeden dźwięk nie ginie, śpiewacy z paryżkiego Odeonu, wyćwiczeni przez kompozytora, stanowią wspaniały komplet. Muzyka Saint-Saens'a pełna jest oryginalności i prawdziwie natchnionych motywów, i instrumentacja cudowna. Treść do opery ujęta przez Gallet'a w piękny wiersz rymowany, osnutą jest na mitologicznym podaniu o Herkulesie, który ponosi karę za niewierność względem żony i ginie w szacie zabitego przez siebie centaury Nessusa. Opera niezadługo przeniesioną zostanie do Paryża, do Opery Komicznej.

W następnym liście podzielę się z czytelnikami moimi wrażeniami z wędrowki po teatrach Paryża, a bacząc na długie już jesienne wieczory, nie omieszkać przelać przegłądu z doboru wszystkich nowości literackich.

Es

Kronika działalności kobiecej.

— Na uniwersytet w Kiel zapisało się z otwartym rokiem szkolnym kobiet 21, a mianowicie wybrały sobie słuchaczki wydział filozoficzny. Jest między nimi 19 Prusaczek, jedna Saksonka, pozostałe z innych prowincji Niemiec. Żywy ruch kobiet objawił się również na innych uniwersytetach, a zwłaszcza w Szwajcarii; wi-

dać z tego, że nie zraziły się kobiety do wiedzy ścisłej owemi zniechęcającymi orzeczeniami, wygłaszanymi na słynnym z nieprzychylności dla kobiecej nauki zjeździe lekarzy niemieckich. Nauka sama w sobie ma dosyć uroku i zbyt silnie stawia człowieka na nogi, aby można kilku efektownymi odczytami zrazić do niej już dziś kobietę, umiejącą cenić wiedzę i wytrwać w trudnościach jej zdobycia.

— Panna Estella Reel z Nebraski w Ameryce, została mianowaną przez prezydenta Mac Kinley'a radczynią szkolną dla zakładów naukowych indyjskich, na miejsce poprzedniego radcy dra Haillman'a. Panna Reel posiada doświadczenie, energię i wielką znajomość administracji szkolnej i zanim powołaną została do nowego swego urzędu, pełniła wpierw obowiązki naczelniej kierowniczkich szkół państwowych w Nebrasce.

— Panna Mariana Cowan, urzędowo zatwierdzona aptekarką w Lyun w stanie Massachusetts, jest dotychczas jedyną kobietą, która wystąpiła z odczytem naukowym w stowarzyszeniu aptekarskiem w Massachusetts. Na dorocznym tegoż stowarzyszenia zebraniu odczytała swą pracę o jednym ze swych mikroskopijnych poszukiwań, a przewodniczący tej instytucji oświadczył się z wielkim dla tej rozprawy uznaniem i podniósł w obec zgromadzonych, że panna Cowan zaszczyt przynosi rządowej szkole aptekarskiej, w której studia swe ukończyła.

— Istniejące w Gracu stowarzyszenie szkoły kobiecej gospodarskiej, przedstawiło w swym rocznym sprawozdaniu za rok 1896 i 1897 bardzo pomyślne dane co do swego rozwoju i działalności. Szkoła gospodarska jest z każdym rokiem udoskonalana i wydaje znaczną liczbę praktycznie wyćwiczonych dziewcząt w zawodzie gospodarstwa, szyćcia, krawiectwa i t. p. Uczennic było w tym roku 106. Oddział szyćcia i modniarstwa liczył przeszło 50 uczennic, dochody stowarzyszenia wyniosły 3619,27 fl., rozchody 4608,88 fl. Instytucja liczy 11 założycieli, 1 członka honorowego i 24 wspierających. Przewodniczącą była dotychczas hr. Teresa Meran i ją też nadal na kierowniczkę stowarzyszenia obrano. Gdyby u nas była taka porządna szkoła dla kucharek, pokojówek, nianiek, bon do dzieci, mielibyśmy i lepszą służbę i więcej spokoju domowego, służba nie byłaby tak wyzyskiwana przez kantory, a chlebowodcy nie byłiby w błąd

wprowadzani niesumieniem polecaniem złej służby. Wszyscy narzekają na ten stosunek opłakany, a przecież do grona dobrze i praktycznie myślących kobiet należałoby założyć taką szkołę gospodarczą, któraby się stała istotnie sumienną pośredniczką między służbą a chlebowodcami. Nasze warszawskie „Schronienie służby” nie spełnia tego zadania, bo służb nie przygotowuje do pracy, a tylko jest czasowym dla nich dachem w porze poszukiwania miejsca, a gdy chodzi o dostanie służby, napotyka się na trudności i często z niczem odejść muszą nasze gospodynie i popaść dalej w przykrą styczeńność z kantorami. Zdaje się, że założenie szkoły dla służb nie przedstawiłoby zbyt wielkich trudności, a może nawet prędzej i pożyteczniej by się rozwijała, niż ten nadmiar pracowni niby artystycznych, w których uczennice uczą się wyrabiania cacek nie fachowo, a nauczycielki zamęczają się za lichą płacę. Brak miary w jednej, najczęściej sprowadza niedobór w innej potrzebie społecznej, a opłakany stosunek służb do gospodyń, woła o gruntowną zmianę rzeczy na korzyść stron obu, ale polepszenie tego stanu powinno wyjść od tych, które stoją wyżej wychowaniem i stanowiskiem, zatem od pań naszych.

SPROSTOWANIE.

W N-rze 35 „Bluszczu,” w korespondencji z Reichenhall, str. 279, szpalta 1, wiersz 2-gi od góry, zamiast: cudnej, ma być: *cudzej*. W szpalcie 2, wiersz 28 od dołu, zamiast pieśni, ma być: *piersi*. W szpalcie 2, wiersz 3 od dołu, zamiast bezbożnik, ma być: *barbarzyniec*.

Do dzisiejszego numeru „Bluszcza” dołącza się: ark. 18-ty powieści, p. t. *Spadkobiercy*, przez autorkę „Za cudze winy.” Przekład Z. S.

Nakładem Michała Glücksberga, Wydawcy Bluszcza wyszła z druku książka p. t.

Z MARZEŃ I ŻYCIA

POEZYJE

SELIMA

(Władysława Bukowińskiego).

Cena egzemplarza rs. 1 k. 20, pocztą rs. 1 k. 30. Do nabycia u Wydawcy i we wszystkich księgarniach.

OD WYDAWCY.

„Bluszcza” w przyszłym kwartale wychodzić będzie pod dotychczasowymi warunkami. Szanownym prenumeratom z prowincji przypominamy wczesne wznowienie prenumeraty, dla uniknięcia zwłoki w przesyłce numerów.

Treść: Między nami przez Szczęsną. — Typy i sylwetki niewieście w poezjach Brodzińskiego (dalszy ciąg). — Pieśń Szopena, przez Władysława Nawrockiego. — Famiętniki Adaminy z Bielskich Moszczeńskiej, przez J. Moszczeńską (dalszy ciąg). — Kazimierz Gliński. Arcydzieło. dramat w pięciu aktach (dalszy ciąg). — Z Paryża, przez S. — Kronika działalności kobiecej.

Dodatek obejmuje: *Spadkobiercy*, powieść, przez autorkę „Za cudze winy,” arkusz 18-ty. Przekład Z. S. — Przegląd mód. 18 wzorów i robót z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycje obiadu.

Warszawa. — W Drukarni i Litografii Tow. S. Orgelbranda Synów, Kraków. — Przedmieście Nr. 66.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg. Дозволено Цензурою. — Варшава, 9 Сентября 1898 г.